Michał Głowiński

# Czarna godzina

Otwarta Rzeczpospolita

Projekt graficzny

Michał Braniewski

Wydane przez:

Otwarta Rzeczpospolita

© Coryright by Michał Głowiński

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002

Tekst stanowi rozdział książki Michała Głowińskiego „Czarne sezony".

Dziękujemy Autorowi oraz Wydawnictwu Literackiemu za zgodę na publikację.

Publikacja książki była możliwa dzięki wsparciu udzielonemu przez

Wydawnictwo Czarna Owca.

Publikacja non profit, nieprzeznaczona do sprzedaży.

Michał Głowiński

# Czarna godzina

Warszawa 2011

Opowiadałem tę historię wielokrotnie różnym osobom, od dawna też chciałem ją utrwalić na papierze jako świadectwo tamtych czasów, wciąż mnie jednak coś odciągało od realizacji tego zamierzenia, w istocie przed nim się broniłem, tak jakby sam proces zapisywania sprawiał, że wydarzenia we mnie odżyją z całą swą grozą. Przyznaję, że i dzisiaj przystępuję do tej roboty z trudem, musze przełamywać opory, nie chcę jednak by ta opowieść wciąż tkwiła tylko w mojej głowie. Na to, że nie mogłem przezwyciężyć ich przez lata, wpływ miały także swoiste względy literackie, obawiałem się, że ta autentyczna relacja wbrew mojej woli podporządkuje się pewnemu wzorcowi, istnieje bowiem odwieczny topos, utrwalony przede wszystkim w ikonografii, ale mający także liczne realizacje słowne, przedstawiający grę człowieka ze śmiercią. Gra, z reguły w karty bądź w kości, toczy się o stawkę najwyższą. Ja grałem wprawdzie w szachy, i to nie z samą śmiercią, ale

z młodym mężczyzną, który postanowił mnie skazać na niechybną zatratę. Partia szachów rozgrywana przez dziecko ze szmalcownikiem wydawać się może tandetnym pomysłem literackim, dziwacznym odnowieniem archaicznego wątku, w opowieści mojej nie ma jednak ani grama fikcji, nie ma fabularnych konceptów, a jeśli pojawia się w niej „literatura", to wtórnie, przez przypadek, wbrew moim intencjom. Opowiadam o wydarzeniu, które przypadło na czas, w jakim przydarzyć się mogły rzeczy najpotworniejsze w swej niezwykłości. A było to tak.

Wkrótce po wyjściu z getta, na początku roku 1943, zagnieździliśmy się we troje – z Matką i moją ciotką Teodorą – na mansardzie przy ulicy Srebrnej, a więc w centrum Warszawy. Dom był stary i zniszczony, a mansarda – w stanie opłakanym. Nie wiem, kto nam ją znalazł, wydawała się w miarę bezpieczna, mieliśmy nadzieję, że nie przyciągniemy niczyjej uwagi i przez czas jakiś przynajmniej dane nam będzie w niej się ukrywać. Mansarda była pusta, ani jednego mebla poza dwoma taboretami, na ścianach rysowały się grzybiczne wzory, elektryczność chyba została wyłączona, brakowało też ogrzewania (okupacyjne zimy wyróżniały się surowością), a rolę pieca pełniła tak zwana koza, żelazny piecyk z długą rurą. Spaliśmy na siennikach wypchanych słomą. Te prymitywne warunki nie skłaniały do narzekań, ważne było, że w ogóle mamy schronienie, to

tym czterem obdrapanym ścianom zawdzięczamy, że nie jesteśmy bezdomni, a więc wydani na śmierć szybką i niechybną.

Skończyłem osiem lat i zdawałem sobie sprawę z położenia, w jakim się znajdowałem. Strach jest znakomitym nauczycielem i szybko pozwala na rozeznanie we własnej sytuacji, sprzyja uświadomieniu, na co jest się skazanym – i oducza nie tylko od dziecięcych fantazji i majaczeń, ale też nie pozwala na skrystalizowanie dziecięcych zainteresowań. Czasu miałem dużo, pogrążałem się w bezczynności, bo nie mogłem wypełnić go sposobami, jakie temu wiekowi są właściwe. W pewnym okresie w getcie, przed rozpoczęciem akcji, kiedy nie mówiło się jeszcze o Umschlagplatzu i Treblince, zacząłem pochłaniać książki, ale na Srebrnej żadnego słowa drukowanego nie miałem – poza podarowaną przez kogoś książeczką do nabożeństwa, z której miałem się nauczyć podstawowych modlitw, aby w razie potrzeby wypowiedzieć Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, Wierzę w Boga... – i w ten sposób zademonstrować, że Żydem nie jestem. Znajomość świętych tekstów, które katolik w sposób oczywisty zna od zawsze, traktowana jako sprawdzian, nikomu chyba nie pomogła, po aryjskiej stronie uczono się ich jednak mimo to powszechnie, sądzono, że stanowi ona coś w rodzaju legitymacji czy może – w pewnych przynajmniej okolicznościach – ostatniej de-

ski ratunku. I ja też uczyłem się ich na pamięć, z niczym specjalnym mi się nie kojarzyły, nie były niczym więcej niż sekwencją zdań do obowiązkowego opanowania i marnie wchodziły mi do głowy; byłem wówczas otępiały, tak jakbym zatrzymał się w rozwoju. Modlitwy, które bez zrozumienia wkuwałem, w dramatycznym momencie okazały się zresztą nieprzydatne, nasz prześladowca nie miał wątpliwości, kim jesteśmy, i nie musiał niczego sprawdzać. Nawet gdybym najpiękniej wyrecytował pół katechizmu, niewiele by go to obeszło.

Miałem jednak ze sobą rzecz, której przeznaczeniem było uprzyjemnianie strasznego czasu – szachy. Nauczyłem się grać wcześnie, jeszcze w getcie; wkrótce po rozpoczęciu wywózek do Treblinki, gdy zaczęto ukrywać mnie po różnych miejscach, było to moje główne zajęcie. Zasady opanowałem szybko, nie pamiętam, kto mnie w nie wprowadził, ale oczywiście nie miałem partnera. Ktoś mi podarował grubą książkę szachową, zawierającą opisy partii rozgrywanych przez wielkich mistrzów. Z zapałem powtarzałem je na swojej szachownicy, pociągał mnie dramatyzm słynnych rozgrywek, identyfikowałem się raz z jednym, raz z drugim partnerem. Ale w mansardzie na Srebrnej księgi tej już nie miałem, została w getcie, nie było sposobu, by wziąć ją ze sobą, gdy wykradaliśmy się zza murów. Miałem jednak małe drewniane szachy, któ-

re trzymałem w podniszczonym tekturowym pudełku (do dzisiaj pamiętam jego wyblakły niebieski kolor), oraz mocno zdezelowaną szachownicę. I grałem sam ze sobą, grałem godzinami, bo to było moje jedyne zajęcie. Sprawiało mi ono niewątpliwie przyjemność. Nie potrafię już dzisiaj zdać sobie sprawy, jak umiałem rozdzielić na dwoje role i sympatie, jest jednak faktem, że był to główny sposób zapełniania godzin potępieńczych i pustych. Nie mogłem wyjść na podwórze, nie mogłem spotykać rówieśników i bawić się z nimi, nie miałem żadnej książki – poza niewielką książeczką do nabożeństwa, z której powinienem się nauczyć najważniejszych modlitw.

I kiedy tak ze sobą grałem, ktoś zapukał do drzwi. Nie zapowiedziane, wcześniej nie umówione pukanie nie wróżyło niczego dobrego, a o tym, które właśnie rozbrzmiewało, z góry było wiadomo, że przyjazne nie jest, było agresywne, głośne, pewne siebie. Tak puka ktoś, kto nie przychodzi, by ci pomóc, tak puka ten, kto chce z tobą zrobić porządek. Zamarliśmy ze strachu, ale w końcu drzwi otworzyliśmy, bo inaczej zostałyby wyłamane. W najlepszym razie mógł to być dozorca, który przyszedł, by na wyrzucić z mansardy, byliśmy przecież dzikimi lokatorami, nigdzie nie meldowanymi, choć komuś za to schronienie płaciliśmy. Ale to nie był dozorca. W drzwiach stanął nieznajomy młody mężczyzna, ubrany z okupacyjną elegan-

cją. Trudno było mieć złudzenia co do jego intencji, nie ulegało wątpliwości, że wpadliśmy. Trzeba było żegnać się z życiem.

Facet już u samego progu oświadczył, że wie, kim jesteśmy i w związku z tym odda nas w ręce Niemców. Próba przekonania go, że się pomylił – dokumenty wszyscy mamy przecież w porządku – oczywiście na nic się nie zdały, nie zdały się też na nic nasze prośby. Młody mężczyzna był nieprzejednany, na błagania i argumenty głuchy. Nie wiem, czy już wtedy znałem słowo „szmalcownik", jeśli nie, to właśnie w ów styczniowy dzień zrozumiałem, co ono oznacza i do kogo się odnosi. Wkrótce wyłoniła się sprawa okupu. Ale przy sobie nie mieliśmy żadnego cennego przedmiotu ani pieniędzy, te nędzne grosze, jakimi w chwili najścia dysponowały obydwie kobiety, oczywiście niepożądanego gościa by nie zaspokoiły, wystarczyłoby ich może na dwa bochenki chleba i litr mleka. Powstała dramatyczna potrzeba natychmiastowego znalezienia czegoś, co pozwoliłoby się nam wykupić. Ojciec, który ukrywał się wtedy w innej części miasta, miał jeszcze jakąś sumę pieniędzy i resztki biżuterii, trzymane na czarną godzinę; stanowiły one tę niezbędną rezerwę, która może okazać się ceną życia. Trudno było o godzinę czarniejszą niż ta, która nas dopadła w mansardzie na Srebrnej, tu granica między życiem a śmiercią już niemal została zatarta, a gra toczyła

się o to, co najważniejsze. W końcu po długich pertraktacjach ustalono, że Teodora wyjdzie na miasto, z kimś się skontaktuje i okup przyniesie, ja zaś z Matką zostaniemy w mansardzie jako zakładnicy. Szmalcownik wyraził łaskawie zgodę na taki bieg rzeczy.

Trwało to długo, nie potrafię powiedzieć, ile godzin, ale z całą pewnością długo – i to nie tylko dlatego, że czas rozciągał się nam w naładowanym przerażeniem czekaniu, nie wiedzieliśmy przecież, co się stanie, czy uda się okup znaleźć i czy po jego otrzymaniu szmalcownik nie zaprowadzi nas na gestapo. Nie orientowaliśmy się, jakiego typu jest on łobuzem, czy zależy mu tylko na zdobyciu pieniędzy, czy też jest także przekonanym antysemitą, widzącym swą misję w wynajdywaniu i tępieniu Żydów ukrywających się po aryjskiej stronie. Gdybyśmy mieli do czynienia ze szmalcownikiem ideowym, nasze szanse na przeżycie tego najścia sprowadzałyby się do zera.

W trakcie przedłużającego się oczekiwania siedział on na jednym z dwóch taboretów, nie rozebrał się, w naszej mansardzie było zimno; odkąd przybył, kozą nikt się już nie zajmował, zdążyła wygasnąć. Do dzisiaj pamiętam jego palto, szare, grube, zrobione z materiału w jodełkę. Dziwne są mechanizmy pamięci, ten jego zimowy strój zapisał się w niej głębiej i trwalej niż jego twarz; prawdopodobnie niczym się nie wyróżniała, może poza krótko przyciętym

wąsikiem, jaki potoczna fizjonomika przypisywać zwykła aferzystom. Siedział spokojnie, nie rozmawiał z nami, od czasu do czasu wyrażał zniecierpliwienie, narzekał, że wszystko się przeciąga, a on niepotrzebnie marnuje swój cenny czas. Najwyraźniej się nudził.

I ja nic nie robiłem. Bezmyślnie siedziałem na sienniku, trudno jednak powiedzieć, że się nudziłem, strach i przerażenie nudzie nie sprzyjają; byłem doświadczonym żydowskim dzieckiem, doskonale pojmowałem naszą sytuację, wiedziałem, co to znaczy „idziemy na gestapo". Nie miałem złudzeń, zdawałem sobie sprawę, że ten straszny dzień skończyć się może śmiercią. W mansardzie panowała cisza, bez przesady można ją nazwać grobową. W pewnym momencie zobaczyłem znajdujące się na parapecie pudełko z szachami, rozłożyłem na sienniku szachownicę, ale oczywiście nie byłem w stanie robić niczego choćby zbliżonego do sensowności. Przesuwałem figury bez ładu i składu, chyba po to tylko, żeby wypełnić to okropne oczekiwanie i choć na moment wydobyć się spod panowania śmiertelnej ciszy.

W pewnej chwili stała się rzecz niespodziewana: znudzony szmalcownik zaproponował, byśmy zagrali w szachy. Nie pamiętam, jak przebiegła ta partia, po czyjej stronie była szansa zwycięstwa, wiem jednak, że jej nie skończyliśmy, wówczas gdy zbliżała się do finału, wróciła

Teodora. Szmalcownik interesował się już tylko łupem, na który musiał czekać kilka godzin. Najpierw się złościł, że jest zbyt mały, ale w końcu go wziął i wyszedł. Chciałem napisać „zostawił nas w spokoju", ale natychmiast zdałem sobie sprawę, że ten idiom nie przylegałby do sytuacji, brzmiałby fałszywie – i to nie tylko z racji ogólnych, bo my, skazani, spokoju wówczas nie mogliśmy ani przez sekundę zaznawać. Brzmiałby fałszywie także w zastosowaniu do tej konkretnej sytuacji, musieliśmy przecież odpowiedzieć na dramatyczne pytanie: co dalej?

Było oczywiste, że po wyjściu szmalcownika nie powinniśmy pozostać w mansardzie nawet przez chwilę, stała się ona lokalem zdekonspirowanym czy – jak się w tamtych czasach mówiło – spalonym. Nie mogliśmy naiwnie założyć, że szmalcownik nie wróci za moment lub nie przyjdzie jutro rano, nie mogliśmy też odrzucić innej możliwości – że przyśle swojego kolegę i wszystko zacznie się od początku, tylko że z całą pewnością skończy się inaczej, bo ta kolejna czarna godzina stanie się godziną bezapelacyjnie ostatnią. To już nie była partia szachów, trudno więc było się domyślić, jakich reguł gry przestrzega szmalcownik (choć końcówkę można było z łatwością przewidzieć), czy uznaje, że w jego zawodzie wszystko wolno, czy też jest „uczciwym" szantażystą, nie nachodzącym po raz drugi tych, od których okup już wymusił?

Tego dnia mansardy na Srebrnej opuścić nie mogliśmy, zbliżała się godzina policyjna, byłoby jeszcze bardziej niebezpiecznie, gdyby zastała nas na ulicy. I to znaczyłoby śmierć natychmiastową. Nie mieliśmy dokąd się udać, dotrwaliśmy więc w spalonym lokum do świtu. Wyruszyliśmy, gdy tylko skończyła się godzina policyjna. Prawie nie mieliśmy rzeczy, Matka i ciotka Teodora wzięły jakieś niewielkie węzełki, a ja trzymałem w ręku pudełko z szachami, którymi grałem z tym, co nie miał skrupułów w wydaniu na mnie wyroku, choć zapewne nie sam byłby jego egzekutorem. Zaczął się nowy etap uciekania od śmierci, wynikającego chyba bardziej z instynktownego przywiązania do życia niż ze świadomej wiary w ocalenie. Cały ten czas, niezależnie od tego, po której stronie muru się było, stał się jedną wielką czarną godziną, a jeśli pojawiały jakieś zróżnicowania, to tylko w odcieniach.

I na tej refleksji mógłbym zamknąć opowieść o tym, co się zdarzyło pewnego styczniowego dnia Roku Pańskiego 1943 w mansardzie na Srebrnej, czuję jednak potrzebę dopowiedzeń. Chciałbym zatem dodać, że wciąż mam przed oczyma figurę szmalcownika, wciąż widzę tego rosłego młodego mężczyznę, który wybrał najstraszniejszy sposób zarabiania, bo tak z pewnością można nazwać szantażowanie skazanych na zagładę. Czasem traktuję go nie tylko jako konkretną osobę, także – a może przede wszystkim

– jako swego rodzaju typ empiryczny okupacyjnej hieny. Każde napomknięcie o szmalcownictwie wyciąga z głębi mojej pamięci tego właśnie faceta.

I jeszcze słowo o szachach. Ze Srebrnej wyniosłem je w podniszczonym tekturowym pudełku, nie pamiętam jednak, co się z nimi stało, w jakich okolicznościach je straciłem. Myślę jednak, że zaginęły wkrótce po opuszczeniu fatalnej mansardy, w czasie któregoś z kolejnych etapów mojej wędrówki. A to, że zapomniałem, jest znaczące i charakterystyczne. Jeszcze do niedawna był to dla mnie przedmiot ogromnej wagi, dzięki niemu wypełniałem sobie czas ukrywania. Ale nagle przestał mnie interesować, był mi już niepotrzebny. Ta moja pasja przeminęła. Może dlatego, że popadłem w apatię i właściwie nic mnie już nie pociągało i nie obchodziło, że wszedłem w stan wegetacji, takiego otępienia, jakby wyparowała ze mnie wszelka inteligencja i wszelka zdolność myślenia. Sądzę jednak, że na tej nagłej zmianie zaważyła najsilniej partia rozgrywana ze szmalcownikiem. Czyli ze śmiercią, która tym razem przybrała postać nie kostuchy z kosą, ale rosłego mężczyzny z filuternie przystrzyżonym wąsikiem.